

PROMIEŃ I GROM

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

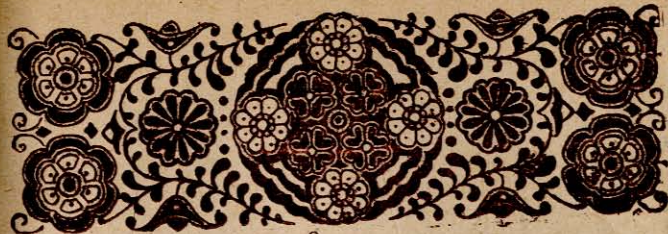
# PROMIEŃ I GROM



WARSZAWA                      KRAKÓW  
NAKLAD KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO  
DAWN. KSIĘG. SPÓŁKI WYD. POLSKIEJ

KSIĄŻKĘ ZDOBIL WŁADYSŁAW VINKLER

DRUKARNIA J. CZERNECKIEGO W KRAKOWIE



## MATCE

Pamiętam, jeszcze dzieckiem, kiedy włos mój płowy  
dłoń matczyna gładziła długo i miłośnie,  
słuchałem cudnej bajki: że gdzieś w lasach rośnie  
paproć, która rozkwita raz w rok w późnej wiosnie...  
Słuchałem, usypiając w dźwiękach cudnej mowy.

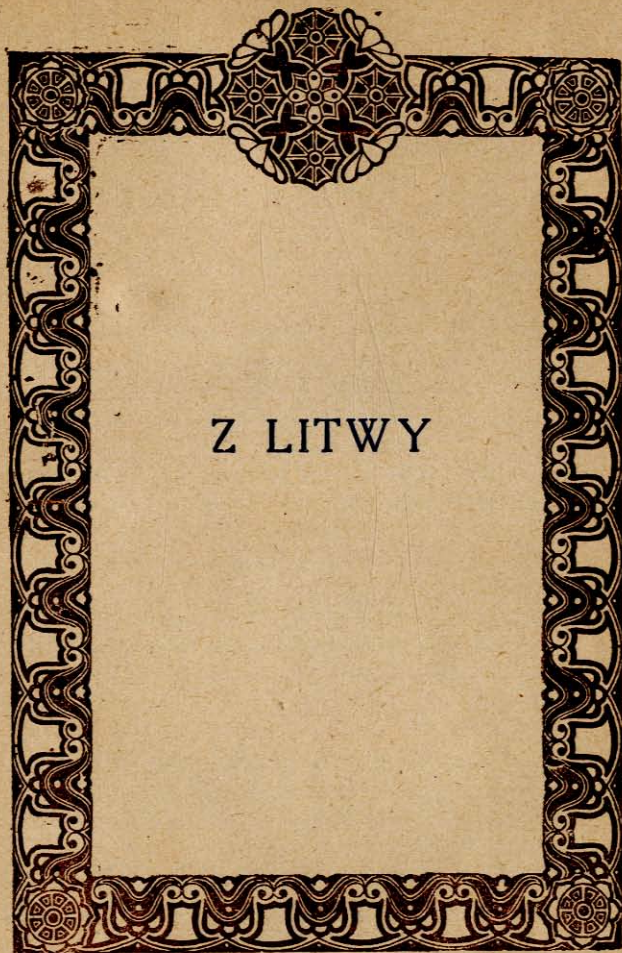
Pamiętam jeszcze dzisiaj prawie każde słowo,  
choć mnie Matko małą odeszłaś sierotą;  
czuję jeszcze, jak pierś mą Twe ramiona plotą —  
słyszę bajkę o kwiecie, który kwitnie złoto,  
bajkę, opowiadaną cudną, polską mową...

Potem już wszystko do mnie tą mową mówiło:  
wiatr, szumiący po kłosach na ogromnym łanie,  
rozdzwoniony nad łąką ptak szary w świtanie —  
strumień, co po kamieniach pędził w srebrnej pianie  
i rozplakane dzwony nad matki mogiłą.

I grom, bijący w wieże tatrzańskie gontyny, —  
zamieć, co po śniegowych pustyniach ugania  
i liści złotych blaszek po ścierni szemrania —  
i dźwięk leśnych dzwoneczków, które strąca łąnia,  
przechodząc, jak cień cicho — lasem w półmrok siny.

Dzwon królewski mi pieśnią wykołysał duszę —  
w polskiej mowie szeptały pacierz Wisły fale, —  
a jesień, ustrojona w jarzębin korale  
wiodła mnie w złotych równin nieskończone dale,  
gdzie tak rzewnie płakały fujarki pastusze...

O Matko — Matko moja, — w ciszę zagrobową  
ślę podziękę za dar Twój podany sierocie :  
za tę bajkę, — że kędyś rozkwitają w złocie  
w polskich lasach, w noc cichą cudowne paprocie, —  
bajkę, opowiadaną cudną, polską mową...



Z LITWY



## ŚWITEŻ

Szedł bór zwycięski; stanął nad wodną pustoszą  
i spoglądał zdumiony po świętem jeziorze;  
widział, jak w srebrnej toni wieczny ogień gorze,  
jak się wieńce rusalek nad falą unoszą.

Zasłuchał się bór stary w piosnkę rusalczaną,  
zapatrzył się na światła w przeźroczym kryształe —  
oplótl zwartym pierścieniem tajemnicze fale  
i stanął skamieniały stuletnich drzew ścianą.

Dziwy jakieś się rodzą z świętego źródlika:  
nocą ogień zniczowy od dna skrami błyska, —  
rusalki w śpiewach płyną w wysrebrzanej łodzi...

A kiedy nad wodami ciche pienia zamrą  
to ktoś fale jeziora zwierza srebrną klamrą  
i wtedy o niem puszcza legendy zawodzi.





NAD ŚWITEZIĄ  
WSCHÓD

Puszczą zwartą się ścianą od wieków rozsiadła  
dookoła jeziora szafirowej fali;  
za kotarą mgieł — słońca pochodnia się pali,  
kładąc złociste blaski ponad wód zwierciadła.

Na wybladłym błękitcie w mgłach gdzieś czaple kwila,  
rzucając cichą skargę w puszcze rozmodloną,  
bo oto na jeziorze Znicza ogień płoną,  
rozniecone przez Boga samego przed chwilą.

Stanąłem z świętą trwogą przed cudną gontyną,  
słuchając modłów puszczy, co w mgłach ciche płyną  
takie rzewne i smutne, — takie tajemnicze,

jakby mgłami się stały u gontyny proga,  
z nad borów wstającego, litewskiego boga,  
który zwrócił na fale promienne oblicze.



NAD ŚWITEZIĄ  
ZMIERZCH

Z puszczy wyszedł stróż nocy, Zmierch, w szarej oponie;  
spojrzał w niebo, — poczekał nim chmur fale przebrną,  
potem słońca ogarkiem zatlił lampę srebrną  
i zawiesił błyszczącą w czystym nieboskłonie.

Przez jezioro gościniec płynie jasną rzeką  
od brzegów przeciwległych, tuż pod stopy moje;  
fal bruzdy: od rydwanu srebrnych kół wyboje.  
którym starzec Zmierch w drogę odjechał daleką.

Patrzę na ten gościniec z promieni księżyca  
i myśl snuje marzenia o największym cudzie:  
aby srebrną tą drogą dojść zdołali ludzie

tam, gdzie się rozpoczyna wieków tajemnica —  
i przez gwiazdne otwory, wybite w błękitcie  
mogli raz chociaż w życiu widzieć drugie życie...





NAD ŚWITEZIĄ

## NOC

Magnat, Pan na niebiesiach — sklepienie zamczyska  
ustroił w noc dzisiejszą suto i bogato;  
chmur brudne plamy wschodnią osłonił makatą,  
z której złoty półksiężyc w gwiazd brylantach błyska.

I jezioro wyścielił muślinów dywanem,  
a na dno rzuca z niebios złociste dukaty;  
sam wreszcie Ciszą, zeszedł w zamkowe komnaty,  
żeby światu pokazać, jak możliwym jest panem.

Rozrzuciłeś Władko po ogromie nieba  
miliony klejnotów i w złocie i srebrze, —  
a tu, na biednej ziemi ust tysiące żebrze

o kęs, choćby maleńki powszechnego chleba...  
Panie! — Brat brata z roli ojczystej wypędza...  
Panie! — Ty chyba nie wiesz, co to głód i nędza!



NAD ŚWITEZIĄ

## BURZA

W mroczną puszcę grom szyje strzały złotolite  
i pewnie drzew tysiące od strzał tych poleże:  
wali wprost w szereg dębów, — w tę królewską świtę,  
aż się ogniem błyskają ich zbrojne pawęże.

Czarną zbroję do walki przyodziali na się —  
niezwyciężone stoją przy świętem jeziorze;  
choć grom im złotą strzałą pierś przez pancierz porze  
stoją zwarte a dumne, w królewskiej swej krasie.

Smierć im w węże ogniste korony oplata,  
a one je dźwignęły aż hen, pod dach świata —  
ostatnie już z gromady mocarnych witezi...

Z próchna swoich praojców żywne soki brały  
i legną jako tamte od gromowej strzały —  
u tajemniczych brzegów zakłętej Switezi.





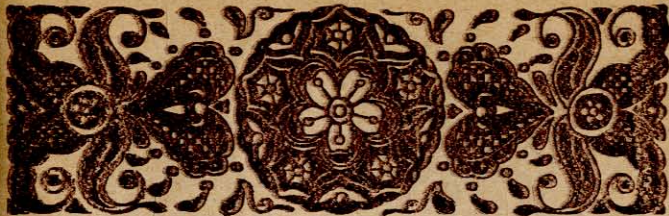
## LITEWSKIM BOROM

Bór kędyś stoi cichy, ogromny, prastary, —  
bóstw dawno zapomnianych nietknięta gontyna,  
nad którą jeno słońce dach złoty rozpina,  
wspierając go o sosen strzeliste filary.

Ongiś tu jasno płonął święty Znicz ofiarny;  
dogasając mgieł dymem owiał puszczy mroki;  
dziś w cieniach leży smętek rzewny a głęboki,  
jak oczy, w zachód słońca zapatrzonej sarny.

O lesie, — cichy lesie! W twoje mroczne wnętrze  
szedłcm szeptać modlitwy najcichsze, najświętsze,  
które pewnie tam jeszcze we mgłach siwych wiszą...

I za chwilę, spędzone w twojej wiekowej nawie  
stary lesie litewski tobie błogosławię —  
boś mi był ukojeniem. — zadumą i ciszą...



## LITEWSKI DĄB

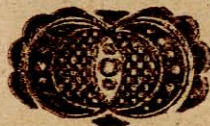
Starego dębu zeszloroczne liście  
wiosenne słońce bladym złotem pieści;  
wiatr w zeszlých blaszkach dawne opowieści  
szepta cichutko, dziwnie uroczyście.

Pewnie wspomina starzec wiek swój złoty,  
kiedy mu u stóp rozpalano Znicze —  
a z jego koron bogi tajemnicze  
słuchały smutnej pieśni wajdeloty.

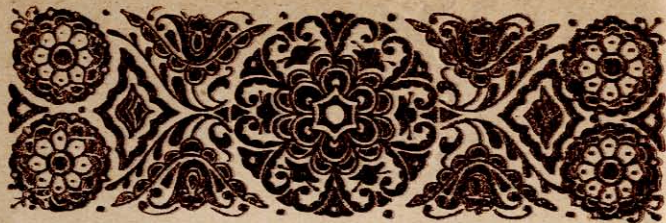
Taka tu cisza ogromna w tej chwili,  
jakby w świątyni przed wejściem kapłana,  
że czekam, kiedy z gąszczu się wychyli

dziewica, w lnianą koszulę odziana  
i płomień Znicza rozpali rzęsiście...

.....  
Cisza i pustka, — dębu szumią liście...







## II.

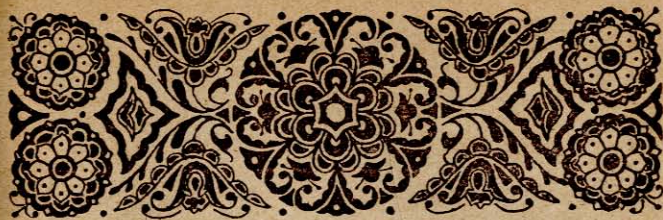
Dziś tędy przeszła wojny zawierucha,  
jeszcze drży ziemia od jej ciężkiej stopy;  
wiekowe drzewa, jak zwichrzone snopy  
legły, zwalone gromem jej obucha.

Pług przerył puszcę, leżącą odłogiem:  
ziemia do głębi wnętrzości rozdarta,  
rzekłbyś, że zryta kopytami czarta,  
co szukał zemsty nad swym starym Bogiem.

A dąb, co pewnie pamięta Mendoga  
zdziwił się świeżo ofiarą złożoną:  
żołnierz, ze sercem rozdartem przez wroga

legł u stóp jego w zrytej ziemi łono,  
krwawą ofiarą bratniej nienawiści...

.....  
Dąb jeno nad nim płacze szumem liści...



## NA WEDECIE

Zgasł księżyc, niby świeca do szczętu spalona,  
dym się jeszcze smugami chmur po niebie włóczy;  
noc na barki naciągnęła lepiej swój płaszcz kruczy  
i usnęła do ziemi przytulona łona.

Stoję na skraju lasu o karabin wsparty, —  
najbliższego już nawet nie widzę pnia drzewa;  
słyszę, jak wiatr przez liście krople dżdżu przesiewa  
i jak w głuchych ciemnościach zmieniają gdzieś warty.

Cisza wysnuwa z mózgu przedziwa najskrytsze,  
których nikt nie pochwyti, nikt nigdy nie zbada,  
chyba kula, co czoło płomienne przewierci...

Szelest! — dech w piersi zamarł, — ktoś skrada się chytrze...  
prosto ku mnie podchodzi jakaś mara blada...  
to nocą poprzez puszcę idzie widmo śmierci...





## W PSZENICZNYM ŁANIE

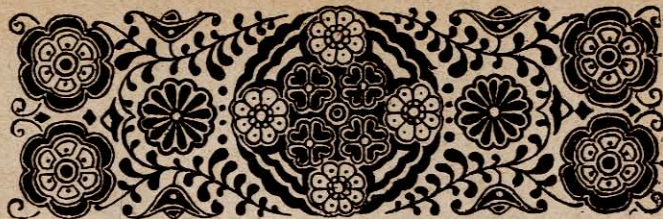
(PRZED ATAKIEM)

Łan zbożowy dokoła, — wiatr kłosy nagina, —  
dłonie moje bezwiednie do piersi je garną:  
w takie włosy złociste, jak to pszenne ziarno  
swoje skronie tuliła niegdyś ma dziewczyna.

Łan zbożowy dokoła, — wiatr kłosy nagina, —  
na dnie fali złocistej chwieją się bławaty:  
takiej barwy oczyma z okna polskiej chaty  
zegnała mnie na drogę niegdyś ma dziewczyna.

Chylę się w fale zboża; do ust mych się ciśnie  
mak szkarłatny, poranna zwilżony dziś rosą  
i me myśli stęsknione na skrzydłach mnie niosą

tam, gdzie płoną purpurą ust dziewczęcych wiśnie...  
Chylę się w złote fale, — pierś do ziemi tulę, —  
a wśród kłosów pszenicznych dzwonią, dzwonią — kule...



## WŚRÓD ZBÓŻ

I.

Idę wśród fali zboża, płynącej ze wzgórza,  
w żarach słońca spokojną, złocistą kaskadą;  
na miedzy, obsypana kwieciem polna róża,  
nad nią barwnych motyli kołysze się stado.

Dokoła mnie jaskółka krąży i świegota,  
wązkim skrzydłem dotyka nieledwie mej twarzy, —  
a polem idzie cisza, kapiąca od złota  
i o szczęściu legendy najcudniejsze gwarzy.

Tak tu dobrze i cicho, — a pragnąłbym jeszcze  
ciszę z piersi mej przelać w jakąś bratnią duszę  
czuję, że w tej chwili w sercu świat pomieszczę

i cichą pieśnią słońca ludzki ból zagłuszę...  
Wołam ludzi, — ramiona wyciągam w przestworza, —  
cicho... w dłonie me płyną złotą falą zboża.





## WŚRÓD ZBÓŻ

### II.

Fale zbóż, w szumie kłosów na pierś moją pędzą  
hen, — hen od horyzontów, gdzie słońce się schyla;  
z poza chmurek snop światła wytryska co chwila,  
na zbóż łany padając szczerozłotą przedzą.

I płyną, — płyną ku mnie kłosów miliardy  
roześmianą, szumiącą fal złocistych zgrają  
i o piersi me cicho, miarowo stukają,  
niby złote, maleńkie karzełków oskardy.

Gdy tutaj zbłądzi człowiek, — człowiek chorej duszy —  
to go pieśń zbóż ukoj, — nawet lzy osuszy  
te, co w serce padają, jak stopiony ołów...

i zda mu się w tej ciszy, że miedzą tą samą,  
która przed nim się wiję szmaragdową plamą,  
przed chwilą przeszedł Chrystus, w gronie apostołów.



## CISZA ZBÓŻ

Z niebios płynął źródł słońca złoty, nieprzerwany,  
rozpryskując się dołem w migotliwe pyły,  
które warstwą złocistą liście drzew sprószyły  
i opadły mgłą złotą na bezbrzeżne łany.

Ciężkie kłosy pszeniczne szeptały nowenny,  
powtarzając bez końca odwieczne swe modły;  
nad kwiatami motyle cichy taniec wiodły,  
ze skrzydełek strzepując słońca pył promienny.

W ten dzień cisza, idąca przez pszeniczne pole  
duszę moją zbudziła; — kładąc dłoń na czole  
starła z duszy mej resztki śmiertelnych stygmatów...

a gdy, klęcząc schyliłem głowę swą w podzięcie  
ona wzniosła nademną swe świetliste ręce,  
chrząc mnie w imię: zbóż ciszy — i słońca — i kwiatów.





## W POLU

Jak ciemne fale morza łan lnu się chybota, —  
w nim kwiatki, niby gwiazdy w błękitach odbite;  
obok maków gromadę, jak królewską świtę  
otoczyła pszenica, aż ciężka od złota.

Dalej wiaterek kołysze srebrną rzekę żyta;  
gryka, niby gałązki różowych koralików  
osiadła tuż nad brzegiem lnu leniwiej fali  
i w ogromną, szeroką ławicę rozkwita.

Tyle cudów dokoła prócz słońca i nieba,  
że do szczęścia tu ludziom nic więcej nie trzeba,  
jeśli ciszę przynieśli tutaj w głębi serca —

i jeżeli, szczęśliwi na chwilę zapomną,  
ile ludzkiej krwi ściekło w tę przestrzeń ogromną, —  
ile krzyżów na polach stawił brat-morderca...



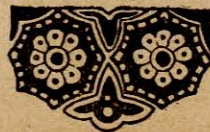
## Z LITWY

Leżałem w zachód słońca na jednym ze wzgórz,  
z którego kawał świata mogłem objąć okiem —  
i myślałem, że wszystko pod niebem szerokim  
w blaskach słońca i w ciszy i w szczęściu się nurzy.

Pastuszek podszedł do mnie, ten, którego stado  
błądziło koło wzgórz; zdjął nakrycie głowy;  
spojrzałem na chłopczynę: wiatr rozwiął włos płowy,  
co okalał twarzyczkę wychudłą i bladą.

Co chcesz — spytałem — chłopię? — Spojrzało zdziwione,  
żem do niego przemawiał jego własną mową —  
i rękę wyciągnąwszy w swojej wioski stronę,

gdzie właśnie zachód palił łunę purpurową,  
rzekło, zławione oczy podnosząc do nieba:  
Panie, — tam matka kona, — w chacie niema chleba...





## W POLACH

Wracam codziem wieczorem przez pola szumiące,  
gdy słońce nad lasami gore krwawą luną, —  
kiedy jego promienie — złote mgły już suną  
przez rdzawe wiechy trawy na bezbrzeżnej łące.

W dali, nad wsią sinieją dymów pióropusze,  
długi szereg żniwiarzy powraca przez rżyska,  
czasem ostrze kos srebrem z oddali połyska,  
czasem w ciszy zadzwonią fujarki pastusze.

Idę w złotych mgłach łąki, i tak mi się zdaje,  
żem zbłądził, w legendarne, nieznanne mi kraje,  
że tu spotkać się muszę chyba z samym Bogiem...

a wiem przecie, że ścieżka do wsi mnie prowadzi,  
gdzie żyją smutni ludzie, znużeni i bladzi, —  
gdzie śmierć i głód napotkam poprzed każdym progiem.



## O ZACHODZIE

Z za szkarłatnych firanek spojrzalo w las siny  
słońce, zapadające za wzgórzy krawędzie:  
przez dębowe gałązki złote nitki przędzie  
i owija w nie krwawe grona jarzębiny.

Złotą zbroję nawdzialo na pień dębu stary, —  
w igły świerków sypnęło rubinowe ziarno  
i luną po wierzchołkach migocąc pożarną,  
otuliło w płomienie na sosnach konary.

Wreszcie zwolna zsunęło na twarz kaptur mniszy...  
Stałem znieruchomiały pośród świętej ciszy,  
co światem przechodziła od końca — do końca...

tylko dusza z mej piersi z krzykiem się wydarła  
i w żałobnych zasłonach, na poły umarła  
szła samotna polami — za pogrzebem słońca.





## SEN

Ległem w polach znużony popod kopą żyta, —  
wzrok popłynął w błękitach z chmur leniwym lotem...  
Nagle — w snopach okienka błysły światłem złotem,  
a kopa, niby chata, srebrną strzechą szyta.

I z chaty rój karzełek wypełznął powoli:  
brody z kiści kukurudz miał ten drobny ludek, —  
wąsy z wiechy jęczmienia, — oczy z niezabudek,  
a na głowach czapeczki, z dzwoneczków kąkoli.

Wszyscy małą gromadką stanęli nademną  
i kiwali brodami; — jeden, śnać szyderca  
przy lampce ostromleczu szukał mego serca...

lecz wiatr mu lampkę zdmuchnął; — zrobiło się ciemno. —  
Otwarłem nagle oczy — sen pierzchał z pod powiek:  
słońce zgasło, — nademną stał zgarbiony człowiek.



## ZACHÓD

Lasy płoną! — Świat gore! — Firmament się pali!  
Słońce, gasnąc z rozpaczny świat żarem zalało:  
straszna łuna pożarna drga nad ziemią całą  
i pół nieba się krwawi w jednej ognia fali.

Chmury w górze czernieją złych dymów powłoką,  
której brzegi okrwawił jasny blask pożogi  
i nad ciche, zmartwiałe zbożnych pól rozłogi  
swoje cielska potworne, przeogromne włoką.

Wkrótce słońce się spali, — a szarym popiołem  
wiatr i ziemię i niebo i serca zasypie:  
Śmierć z wezwaniem na gody wysłał swego gońca...

A gdy wreszcie mnie wezwie, abym usiadł społem —  
to ostatnim kielichem, na swej własnej stypie  
spełnię toast ostatni — na cześć boga-Słońca...





## JESIEŃ

Codzień rankiem połem idzie skądś — z dalekiej puszczy  
cudna pani, otulona w białych mgieł muśliny;  
na jej piersi lśnią korale krwawej jarzębiny,  
a na skroni, jak motyle — złote liście bluszczy,

Płaszcz z atlasu białych szronów z jej ramienia splywa,  
w bładem słońcu grają tęczę jego dyamenty;  
idąc — rzuca na jałowce i na wiklin pręty  
kłąbki nitek cieniuteńkich srebrnego przędzywa.

Co poranku ją spotykam, błądząc przez ścierniska,  
jak z uśmiechem czarodziejki srebrne sieci ciska,  
które wicher ponapinał na jej złote krosna —

i ja do niej się uśmiecham, choć wiem o legendzie,  
że ostatnie nitki życia na swych krosnach przędzie —  
i choć swoją mam kochankę, której imię: Wiosna.



## Z JESIENI W LESIE

Złote listki brzoźowe, jak cudne motyle  
lecą, lecą bez przerwy z drzew południa ciszą  
w promieniach białych słońca lekko się kołyszą  
i siadają na zeschłych paproci badyle.

Cicha jesień w złocistej w lasy zesła szacie,  
purpurowy płaszcz wrzosów na ramionach niesie  
i przez grube kobierce, rozścielone w lesie  
idzie w królewskiej pysze, w ciszy majestacie.

Leżę u skraju lasu; myśl rwie się i płacze,  
jak te nitki pajęczyn, co spowiły pnące  
obumarłych powoi i rdzawe paprocie;

a na piersi, chłnące czar ostatni słońca,  
niby martwe motyle lecą z drzew bez końca  
złotych listków brzoźowysz całe, całe krocie...





Z JEZIENI

## WIECZÓR

Zachód po skrajach puszczy drzew korony złoci:  
w dół liście żółknijące, jak martwe motyle  
lecą, pośród gałązek szeleszcząc przez chwilę  
i padają na zeschnięte wachlarze paproci.

Dołem, niby wąż — pełnie przez złote kobierce  
cień, wylęgły w tajnikach najdalszej gęstwiny;  
podpełza tuż pod stopy, wznosi łeb swój siny, —  
patrzy w oczy i cicho wślizguje się w serce...

Wiem, o ziemio, że konasz — w złocie i purpurze, —  
że ostatnie, słoneczne spijasz życia kruże,  
nim legniesz cicha, w białym, śmiertelnym całunie —

i choć zwracasz się ku mnie z uśmiechem słodczy,  
dusza moja za tobą krwawym bólem krzyczy —  
bo wie, że wnet na zimną pierś twą z szlochom runie...



Z JEZIENI

## LIŚCIE

*Stan. Klemensiewiczowi*

Tyle się złotych liści w błoto zesypało,  
tyle z wichrem ich leci na puste ugory...  
a park cicho umiera, śmiertelnie już chory,  
otulony w opończę mgieł jesiennych białą.

Spotykam, gdzieś drożyną wlokąc się odległą  
zabłąkane tam liście z mych dębów korony;  
poznaję je i patrzę smutny i zdziwiony,  
że me życie już tyle swej drogi ubiegło...

Idę, a liście szemrzą u stóp mych żałośnie,  
te, szumiące mi kiedyś w słońca złotej wiosnie  
cudne dumy o szczęściu, co nigdy nie gaśnie...

dzisiaj szeleszczą pod stopą, niby księgi karty  
zapomnianej już dawno, zbrukananej, podartej,  
w której wiosną czytałem najcudniejsze baśnie...







Z JESIENI

## ŁZY

Na pustych polach leżą mgły,  
zły wicher drzewa siecze;  
deszczu kroplami jesień mży  
i krople cieką, niby łzy,  
tysięczne łzy człowiecze...

Straszliwa pustka wieje z pól,  
żałośnie wicher płacze:  
na ziemię, zrytą gradem kul  
we krwi serdeczny zeszedł ból —  
i cieką łzy tułacze...

Czarne sztandary skrzydeł wron  
rwie, targa wicher chyży;  
we mgłach daleki jęczy dzwon,  
wieszczący słońcu szary zgon,  
nad ziemią leż i krzyży...

Dusza, spowita w mroku mgły  
smutnem się polem wlecze...  
Deszczu kroplami jesień mży  
i krople lecą, niby łzy —  
tysięczne łzy człowiecze...



Z JESIENI

## M G Ł Y

Nad łąkami rozwłóczy zmrok mgieł blade płótno,  
powoli ciche pola w całuny otula —  
i mgły leżą, jak biała śmiertelna koszula  
nad ziemią opuszczoną, samotną i smutną.

Pod me stopy z szelestem liść po liściu spada:  
to drzewa smutne płaczą nad ziemią umarłą, —  
bo oto śmierci znamię w jej piersi się wżarło  
i krążą już ponad nią czarnych ptaków stada.

Idę — i nie wiem dokąd ta droga mnie wiedzie;  
wczoraj szło jeszcze słońce przedemną na przedzie, —  
dziś mgły świat osłoniły od krańca po kraniec...

a przecież mimo, że mgły zasnuły mi drogę  
i kresu mej wędrówki dopatrzyć nie mogę —  
idę do kraju słońca, jak wieczny wygnaniec.





Z JESIENI

## PUSTKA

Jesiennym, cichym rankiem na pola wychodzę  
patrzeć się, jak tam życie gaśnie i zamiera —  
i widzę, że przez rżyska idzie pustka szczerą  
i siada, jak żebraczka pod krzyżem, przy drodze.

Widzę, jak składa obok swoje sakwy próżne,  
naciągając na barki brudne mgieł łachmany —  
i jak wicher, idący drogą, rozelkany  
rzuca złotymi liśćmi w jej dłonie jałmużnę.

Widzę własną swą duszę, jak idzie strudzona,  
wyciągając na próżno ku ludziom ramiona,  
błądzącym drogą życia, jak cienie tułaczę;

widzę, że na rozstajach stanęła u krzyża  
i śmiertelnie znużona ku ziemi się zniża —  
i słyszę, jak wśród wichrów zawodzi i płacze...



Z JESIENI

## SZARUGA

Przez ugory z wichurą idzie szara ślota, —  
rozmoklemi brzdami stanęły kałuże;  
jakieś głosy zawodzą w tańczącej wicherze,  
jakby łkała rozpaczą w nich ludzka tęsknota.

Liście wicher wsiekl w ziemię; stargane na strzępy  
leżą, niby krwi plamy zakrzepłe i rdzawe;  
miliardem łez przybił deszcz zwichrzoną trawę,  
a wicher rwie ze skowytem młodych wiklin kępy.

I wszystko się prześniło — i słońce i mają;  
dzisiaj śmierć jeno spotykam, idąc na rozstaje,  
tam, gdzie jeszcze niedawno szła jesień wśród złota.

Po tych samych mnie drogach gna dzisiaj bez końca  
za zgubionymi niegdyś okruciami słońca,  
łkająca wśród wichury wieczysta tęsknota...





Z JESIENI

## DESZCZ

Anieli, niosąc Bogu łez człowieczych brzemię  
upuścili je pewnie u niebios podwoi:  
bo oto przestwór chmurny od dżdżu łez się roi —  
miliardy ich leci, leci w głuchą ziemię.

A rozpacz, idąc światem we mgły otulona  
tak czasem się przybliży, że oddech jej słyszę;  
potem znowu odchodzi, gdzieś w grobów zaciszu,  
gdzie hymn życia w dżdżu pieśni monotonnej kona.

A łzy, które przed Boga nigdy nie doniosą,  
bo im hufiec aniołów podołać nie może  
spadają w dół olbrzymich, ciężkich kropel rosą...

I tych łez-byś sam nawet nie dźwignął Ty Boże,  
gdybyś je zdołał zebrać gdzieś, w otchłannej czarze,  
choć wielki jesteś mocarz. — mocarz nad mocarze...



LITWIE

## POŻEGNANIE

Spisz cicho moja ziemię w srebrnych mgieł całunie,  
tulących twe rozłogi w muślinów zawoje;  
tęsknota w łez brylantach zeszała w pola twoje  
i jak cień nieodstępny za człkiem się sunie.

W dali, w świetle księżycy twe puszcze mającą  
siniym skrawkiem, nad morzem białych mgieł topieli  
i w twe puszcze odwieczne tęsknoty anieli  
na srebrnych skrzydłach niosą mą duszę tulącą.

Odchodzę dziś od ciebie, gdzieś na skraje świata,  
a ciebie, ma kochanko całun mgieł oplata  
i twe pola i puszcze w ciszy nocnej drzemią:

tylko dzika tęsknota, co w mgłach twych się czai  
wcałowała w mą duszę, u drożnych rozstań  
żał serdeczny za tobą, kochanko ma — ziemię.





## UŁAN

Wspiął się rumak do skoku i przednie kopyta  
zawiesił na błękitach, jak dwa półksiężycy;  
skoczył w bok, — podkowami krzesząc błyskawice  
wiruje w tańcu z wichrem, stała kopyt zgrzyta.

Ułan lancę swą oparł o złociste strzemie;  
prawicą dźwignął w słońce ojców szablę krzywą  
i naprzód pochylony nad rumaka grzywą  
przesadzi, — zda się — skokiem jednym całą ziemię.

Zmartwiał rumak przez chwilę w półskoku rozpięty;  
ułan z klingi ku słońcu sypie dyjamenty, —  
pewnie teraz w galopie na wroga uderzy...

Dmuchał wiatr: koń rozpoczął znów swe tańce chyże:  
dookoła swej lancy, we wichrowym wirze  
tańczy ułan blaszany, tam — na szczycie wieży...

*W. Sworotwa.*



## PORTRET

Wzniosła sala zamkowa, ustrojona w freski;  
na ścianie duży portret z przed jakichś stu laty:  
dumne oczy żołnierza patrzą w głąb komnaty —  
świecącymi guzami lśni mundur niebieski.

Epolety złotymi haftowane ścięgi,  
jakby od krwi: zczerniały, — bo ten mundur siny  
był z pewnością na polach Lipska — Berezyny...  
na mundurze lśni gwiazda honorowej legii.

Patrzysz cudny ułanie dumnymi oczyma,  
jakbyś duchy swych przodków z pod Wiednia, — Chocima  
ścigał, lecące niebem na skrzydłach husarzy...

ani nawet nie spojrzysz na przyziemne karły,  
co się dzisiaj nieprawnie w twoje gniazdo wdarył,  
bo ci się wiekuisty sen o sławie marzy.

*W. Sworotwa (Chwilowa kwatery dowództwa korpusu austr.).*





## DĘBY

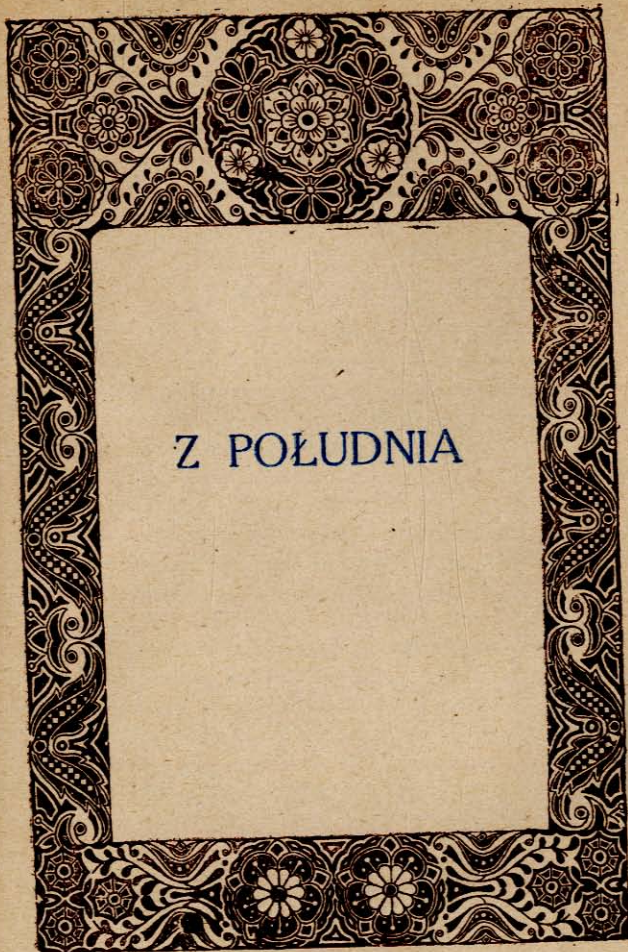
*z Domejków Roemerowej*

Dęby wkoło stały, jak woje rycerni,  
strzegąc spróchniałych węglów dawnych bóstw dworzyszczy;  
jeszcze im się korona słońce purpurą błyszczy,  
choć oćma zesła w puszcze i pnie drzew już czerni.

Po gąszczach się zwołują poświstami biesi,  
a ślepie ich we mroku krwawym błyskiem gorze —  
jeno dęby, puszczy mrocznych odwieczne wielmoże  
stoją w blaskach u gontyn zmurszałych przyciesi.

Tu bogi ongiś stały — a dęby na straży,  
tu się jeszcze dym Znicza w ich koronach waży,  
jeszcze szumią w nich echa tryumfalnych rogów...

Bogi w gruz się rozpadły... a dęby wciąż stoją,  
dźwigając starcze piersi z spękaną już zbroją —  
a gdy runą — to runą na prochy swych bogów...



## Z POŁUDNIA



## O WSCHODZIE

Noc uchylała zwolna skraj mrocznych firanek,  
z poza których brzask śmiał się oczyma sennemi;  
wreszcie światło trysnęło ponad skrawkiem ziemi  
i na fale wszedł w złocie słoneczny poranek.

O dziób statku pryskały roziskrzone fale,  
spadając w dół świetlistych brylantów kaskadą;  
hen od brzegu mew śnieżnych zerwało się stado,  
i przemknęło nad nami po niebios kryształe.

Stałaś na przedzie statku cała w złotej zorzy, —  
usta twoje różane słońce całowało;  
czekałem, kiedy dłonie na pierś twoją złoży

i na rydwan swój złoty zabierze cię całą...  
trwałaś z niem w pocałunku bez tchu i bez końca,  
a statek leciał z tobą wprost w ramiona słońca.





## OSTATNI AKORD

Fale morza purpurą zachodu zasłane  
szemrzą u białej skały wieczorne nowenny;  
z wód ogromnej pustyni zgarnia wiatery senny  
ku brzegom z grzbietów fali śnieżnobiałą pianę.

A słońce poprzez smutną cyprysów arkadę  
spojrzało raz ostatni w głąb cichej komnaty,  
całując na twych skroniach wół umarłe kwiaty  
i wsparte na klawiszach twoje ręce blade.

Zamarł ostatni akord twej pieśni dziewczyno...  
mewy, co białym stadem hen, ku słońcu płyną  
na swoich, śnieżnych skrzydłach uniosły go w dale...

I tylko widmo pieśni nam w duszach zostało,  
zasłuchane w modlitwę cichą, a wspaniałą,  
która u białej skały szemrzą morskie fale...



## MEWY

Wzleciały śnieżnym stadem nad bezmierną wodą —  
nad fal spienionych srebrne, rozwichrzone grzywy,  
wzleciały wartkim lotem w niebios półmrok siwy  
i na zbladłym błękiecie swój korowód wiodą.

Czasem je wicher unosi, jak śniegowe płyty  
i gromadą ku skałom nadbrzeżnym podwiewa, —  
to ze stada wzlatuje w błękit jedna mewa,  
jakby wyrwać się chciała hen, — hen, gdzieś w zaświaty.

A myśl moja je goni ponad wód bezmiarem,  
po sinych gór zarysach i po niebie szarem,  
płynie, płynie w śniegowej ich skrzydeł zamieci —

wreszcie z tamtą, co w błękit samotna ulata  
i myśl moja odpływa ku krawędziom świata  
patrzeć, czy śnieżna mewa w zaświaty doleci...





## CYPRYSY

Ponad ogromną, cichą, uśpioną wód tonią  
zeszedł księżyc, haftując srebrem ciemne fale;  
spogląda ku cyprysom, co na białej skale  
stały zadumane i srebrne łyż ronia.

Wiatr fal skargę w korony strzeliste ich niesie —  
śniegowe piany prawie do stóp im podwiewa;  
we łzach srebrnych skapane nadmogilne drzewa  
stoją ciche i patrzą gdzieś po wód bezkresie.

W wyłożony strop nieba dźwignęły swe czoła  
i patrzą po pustyni ciemnych fal dokoła  
jedyni prawni władcy wód ogromnej włości...

Stoją w szatach srebrzystych u nadbrzeżnej skały,  
jak dusze, które w trwodze swe kroki wstrzymały  
u brzegów nieskończonej, — tajemnej wieczności...



## CMENTARZ

Na wyspce odludnej, w cyprysów koronie  
od wieków drzemie cmentarz w zamierchłej legendzie;  
jedna mewa tu czasem nad grobem usiedzie,  
strudzona długim lotem przez modrych wód tonie.

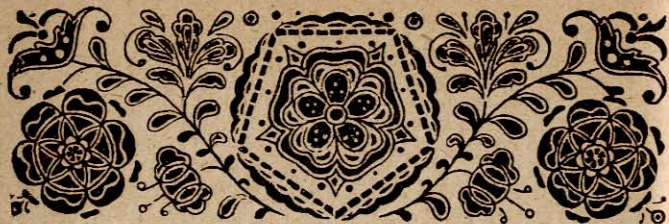
Tylko szereg cyprysów stoi strażą wierną  
u mogił, przed wiekami rozbitej flotyli;  
tylko drzewo oliwne, zgarbione się chyli  
nad wyschłą, wśród cmentarza rozpadłą cysterną.

Raz na lata zabłądzi wędrowiec w tę stronę,  
unosząc w cień cyprysów swe skronie znużone  
i spłoszy z ponad mogił rój złotych motyli;

lecz nim w dalszą wędrowkę za morza wyruszy  
nową skargę unosi w rozplakanej duszy:  
legendę przed wiekami rozbitej flotyli.







## BORA

Z gór wicher się stoczył i potężną ścianą  
uderzył w fale: sieje ciemne smugi,  
jak gdyby olbrzym sypał raz i drugi  
garście popiołu na płytę wód szklaną.

Fala z nad fali tryska srebrną pianą,  
ta na wód grzbietach wiąże rąbek długi  
i lśni, jak łuski rycerskiej kolczugi  
nad ciemną tonią, w bruzdy rozoraną.

A wicher świszczy i rwie cyprysami,  
co takim dumnym szeregiem utkwily  
tu, na wybrzeżu, wznosząc w chmurę czoła...

Hej! — burze życia, — wy bólem i łzami  
tworzycie dusze pełne takiej siły,  
jaką ma chyba dusza archaniola...

1914



## BURZA NAD MORZEM

I.

Grom w czerep turnic wali tysięcznymi młoty,  
aż się z lbów granitowych sypią luny krwawe;  
raz w raz piorun rozdziera czarnych chmur kurzawę,  
ześlizgując się w przepaść, jak wąż szczerzoty.

Morze się wód pożarem hen, pod niebo kurzy,  
wyrzucając ku chmurom słupy srebrnej piany;  
świat w potworne zygzaki piorunów spękany  
wali się w czarną otchłań rozszalałej burzy.

Zda się, że Bóg na swoim, wiekiustym tronie  
zapatrzył się na światy kędyś w innej stronie  
i czart z pod stóp mu wykradł śpiące cicho gromy —

i gdy Bóg ku nam spojrzy oczyma swojemi  
jeno gruzy zobaczy z rozwalonej ziemi  
i widmo ludzkiej duszy na zgliszczach Sodomy...





## BURZA NAD MORZEM

### II.

Czarny gad chmur, wicherami ku ziemi przybity  
wlecze między gór ściany swoje cielsko smocze —  
zakrwawionym językiem po niebie migocze,  
a rykiem rozdygotał granitowe szczyty.

Błyskiem krwawych swych ślepi pół nieba rozpala —  
łeb potworny z warkotem położył na morze:  
dechem nozdrzy wód tonie w bruzdy do dna orze,  
aż pianami srebrnymi w niebo bryzga fala.

To już nie czart wyruszył na ziemi zagładę,  
pędząc w straży swej przedniej widmo śmierci blade —  
to nie jego zastępów zgraja rozpętana...

To bóg zła, kędys z mroków na tryumf wyrusza,  
a przy jego rydwanie kroczy ludzka dusza —  
dusza słońca — w kajdanach boga-Arymana...



## NA PLAŻY

### I.

Z słońca, stopione złoto w ciche morze ścieka, —  
miliardem płomyków przyprószyło fale;  
mewy się tylko chwieją w błękitów kryształach  
i świst słychać parowca, gdzieś z bardzo daleka.

Leżę na złotym piasku — bez ruchu i słowa:  
czuję, że żar słoneczny nawskroś mnie przepala, —  
w rozpalonych tętnicach płynie ognia fala,  
żrenicę krwi zasłania mgławica różowa.

Na pierś mą padła cicho słoneczna dziewica  
z brylantowych promieni, o oczach z błękitu,  
spłynęła w fali złota ze sklepienia szczytu

i płonące do ust mych przytuliła lica;  
złote włosy spowiły me piersi i szyję —  
czekam chwili, gdy z ust mych treść duszy wypije...





## NA PLAŻY

### II.

Przedemną przeogromna lśni świątynia świata:  
namiot, z błękitów nieba na górach rozbity, —  
dołem świeci ametyst jednej morza płyty,  
po której srebrne pyły fal wicher rozmiata.

U szczytu płonie lampa, przepelniona złotem;  
środkiem fali kobierzec świetlisty migota, —  
powietrzem światło leci, jak mgła szczerozłota  
i cisza jeno idzie pod niebios namiotem.

Nad brzegiem stoi dziewczę: jej ciało różowe  
przenikają promienie, — w włosy złotem prószą;  
wznosi ręce ku górze, przechyla w tył głowę,

jakby słońcu się chciała oddać całą duszą —  
wilgotnemi wargami o róży kolorze  
chłonie w pierś swą dziewiczą: niebo, — słońce, — morze.



## NA PLAŻY

### III.

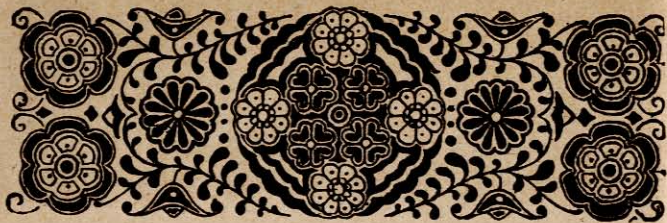
Wiatr pędzi wzdęte wody pod same namioty,  
szarpiąc ich różnobarwne, przyblakłe już płótna;  
tuż u stóp mych nieledwie kona fala butna,  
tryskając srebrną pianą ponad piasek złoty.

Po morzu skaczą wrzaski kolorowej zgrai,  
co dalsze, kamieniste wybrzeże obsiadła;  
na piasku leżą mumie, zwite w prześcieradła,  
w których się często młodość najpiękniejsza tai.

Frunęło prześcieradło i młoda dziewczyna  
lekką stopą pobiegła wprost w błękitne tonie:  
srebrna fala po śnieżnych jej udach się wspina,

namiętnym pocałunkiem przywarła na łonie...  
Dziewczę drży, — tuli do fal swoje cudne biodra, —  
piersi, — usta... w objęciu skryła ją toń modra...





## POD POMNIKIEM DANTA

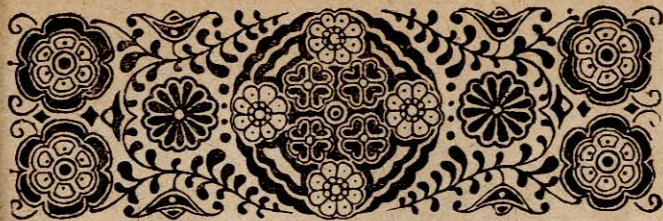
Ponad góry, osnute w mroku szaty płowe,  
stojące, jak świątynie w kadzidlany dymie  
wyszteliliście kamienny Pieśniarzu-olbrzymie,  
wnosząc w błękit wawrzynem uwieńczoną głowę.

W twarzy twojej cierpienia te wszystkie zamaryły,  
któreś światu wyśpiewał strunami swej lutni —  
i u stóp twych już wieki stają ludzie smutni,  
niby gromem twej pieśni porażone karły.

Wyciągnąłeś swe ramię w świat mroczny i pusty,  
wołając od stuleci kamiennemi usty:  
Rzucicie wszelką nadzieję wy, co tu wchodzicie...

I tłum głowy opuszcza i pełźnie, jak senny,  
zapatrzony w przepaście wieczystej gehenny, —  
a przecież w własnej piersi nosi twórcze życie...

*Trydent.*



## POD WIELKIM WODOSPADEM

Przedemną w luk wygięta zastygła wód płyta,  
niby okno olbrzymie otchłannej pieczary —  
i przez nie widna czeluść i skraw niebios szary,  
a dołem straszna bezdeń, mleczną mgłą przykryta.

Mocarne czyjeś ramię ziemię w pół rozsiekło  
toporem, który w ostrzu miał gromów miliardy  
i na dwoje się rozpadł skalny pancerz twardy,  
a topór gdzieś ugodził pewnie w samo piekło.

W otchłani huczają wody; od setek stuleci  
ich strumień niewstrzymany wciąż w bezednie leci.  
dla fali swojej rąbiąc w skałach szlak daleki,

jak prąd życia, co żłobi coraz głębsze szlaki,  
płynąc w czasie miarowo — napozór jednaki,  
przelewając się wiecznie w otchłań — z wieków w wieki...

*Trydent.*





## U SZCZYTÓW

Na dnie jaru, stóp tysiąc podemną w głębinie,  
jak wąż, co srebrną łuską do słońca migota,  
wśród szmaragdów murawy i wśród piasków złota  
wezbrany górski potok w setnych skrętach płynie.

Po stokach gór modrzewie w świeżutkiej zieleni;  
wkoło hale ogromne, kwieciami przyprószone;  
nademną góry śnieżną dźwignęły koronę,  
która się ametystem i rubinem mieni.

Stałem pod krzyżem, zsiekanym przez słoty:  
Chrystus ręce wyciąga, jak ongiś z Golgoty  
ku każdemu, kto tylko do niego się zbliża, —

a tą drogą ku szczytom już tyle tysięcy  
poszło do bratniej walki, by nie wrócić więcej —  
z bratobójczem żelazem przeszło mimo krzyża...



## Z ALP

Zmierch zatarł siną barwą skały górskich zboczy,  
tak, że tylko śniegami świecą ich kontury;  
rzekłbyś, że to na scenie, — że tło gór z tektury,  
z poza których za chwilę tłum aktorów wkroczy.

Słońce jeszcze najwyższe szczyty ogniem krwawi,  
a cisza w ciężkich kirach idzie już doliną;  
na błękitach powietrzne cicho statki płyną,  
niby klucze, z północy ciągnących zórawi.

Patrzysz na tę przecudnie scenę zestawioną  
i dziwisz się, że ludziom grozą oczy płoną,  
że gdzieś kryją się wszyscy do skalnych kazamat...

Nagle słyszysz ryk gromu, co z błękitów spada  
i widzisz, że na scenę wychodzi śmierć biała —  
że się teraz rozpoczął jakiś straszny dramat...





## PORANEK W GÓRACH

Wstawał dzień; nad górami, co we mgle drzemały  
rozpiął harfiarz-poranek złotych strun tysiące,  
a po szczytach ustawił pochodnie płonące,  
które ogniem skrwawiły wirchów kaptur biały.

Wreszcie Bóg na gór czoła złożył dłonie swoje  
i słońcem, które nosi oprawne w sygnecie  
przez mgieł blade muśliny smugi światła miecie  
w zaścienione półmrokiem padołu podwoje.

Ludziom na twarze smutne, poradlone czoła,  
niby skrzydeł złocistych muśnięcie aniola  
rzucił światła strumienie ich Pan i Obrońca.

i przez oczy wzniesione, z zdumienia otwarte  
złotem pismem nadziei skreślił duszy kartę —  
a miast swego imienia złożył pieczęć słońca.



## W ALPACH

### I.

Niby woje-olbrzymy stoją w śniegach góry:  
siwe brody zastygły im w sople lodowe;  
oni w błękit dźwigają królewską swą głowę,  
że aż słońce im krwawi śnieżyste kaptury.

Futra z borów odwiecznych naciągali na bary,  
a lodowy im pancierz na piersi połyska —  
i pod niebem zasiedli w ogromne koliska  
na jakowyś tajemny, święty wiec prastary.

Pewnie radzą od wieków gdzie ruszyć na boje,  
gdzie wyszczerbić lodowe, władne miecze swoje,  
by królestwa ich beret nie miały już końca...

a nie wiedzą zapewne, że próżne ich rady, —  
że im pęka na piersiach lodów pancierz blade,  
że ich miecze topnieją już w promieniach słońca.





## W ALPACH

### II.

Otulone w mgieł wianki, niby w białe boa,  
w gronostajowe książąt ubrane kołpaki,  
jeden jak drugi w pysze i sławie jednaki  
dźwignęły gór olbrzymy w słońce dumne czoła.

Na kołpakach im błyszczą świetliste klejnoty,  
słońcem palą się blachy srebrnego puklerza;  
na każdym lśni z atlasów śniegu szata świeża,  
dziergana promykami słonecznej pozłoty.

Stoją zwartym szeregiem i piersiami swemi  
zaparli drogę słońcu na niziny ziemi,  
kędy w mrokach odwiecznych błądzą ludzkie dusze...

Hej! skrzydeł mi, a gromu! — sił ramion tysiąca!  
gromu, co krwawym ostrzem światy w proch roztrąca —  
a tym wiecznym olbrzymom dumne łby pokruszę!



## W ALPACH

## O ZMIERZCHU

Góry w ciemne niebios a dźwignęły swe czoła,  
prostując w gronostaje otulone grzbiety  
i całe ustrojone w mroku fiolety  
stały, niby jacyś książęta Kościoła.

Skostniały i zamarły przed tysiącem laty,  
zapatrzone w jeziora tajemnicze tonie;  
śmierci groza u czoł ich poradlonych plonie,  
jak ponurych tajemnic widome stygmaty.

A życia nowe zdroje rwią trzewiami ziemi,  
tryskając u gór piersi strugami krwawemi  
pędzą z szumem ku dołom, — na miasta i sioła...

tylko góry, ze śmierci u skroni upiorem  
w półmroków fioletach — nad martwym jeziorem  
stały, niby jacyś książęta Kościoła...





## W BURZY

Czasem mnie dzika opada tęsknota,  
kiedy gór szczyty siwe mgły osłonią, —  
kiedy wichura po stokach się miota,  
targając świeżo rozkwitłą jabłonią —  
i brudne szmaty chmur strzępionych żenie  
przez opuszczone nad światem sklepienie.

I nie wiem czemu? — Bo dawno mi duszę  
struli, zszargali w krwi ludzkiej i bólu,  
tak, że dziś czeka w wichrów zawierusze,  
jak owe drzewo samotne na polu,  
stargane w burzy rozpętanej fali —  
kiedy je piorun na dwoje rozwali...

Czasem mnie dzika opada tęsknota  
i coś mi szeptem cichutko do ucha,  
że zanim piorun pierś moją zdruzgota —  
nim z pieśnią śmierci spadnie zawierucha,  
zgaśić me oczy swoją dłonią krwawą —  
to przecież w słońce spoglądnąć mam prawo.



## NA ZMARTWYCHWSTANIE

Dzwony w działa przelano — i te grzmą rozgłośnie,  
setkiem ech potrącając o gór śnieżnych czoła;  
huczą, jak dawniej dzwony od wieżyc kościoła,  
głosząc wieść Zmartwychwstania roześmianej wiosnie.

O skał twarde czerepy wałą gradem stali —  
biją o piersi ludzi — o zbołałe serca...  
a po białych przestrzeniach, z pod śniegów kobierca  
wzrastają pierwsze kwiaty: młodej krwi koralu.

W spiżę armat przelano Pańskich świątyń dzwony,  
wieszczące ongiś hymnem od wieżyc korony  
godzinę Zmartwychwstania po kwiecistym łąnie —

i armaty grzmą niebem, — wałą gradem stali —  
sieją po śniegach kwiaty młodej krwi koralu,  
głosząc Chryste nad światem Twoje Zmartwychwstanie...







## CZYŚ TY CHRYSSTE...

Czyś Ty Chryste godziną Swego Zmartwychwstania  
przechodził śnieżną ścieżką nad skalne urwiska,  
kiedy gromów armatnich tysiące ugania,  
kiedy tysiąc plam krwawych na śniegach połyska?

Czyś Ty Chryste przechodził tą drogą krzyżową,  
którędy pnie się człowiek ku ziemi zgarbiony —  
czyś nie widział nad jego opuszczoną głową  
Swojej własnej, męczeńskiej, cierniowej korony?

Czyliś spojrział mu w duszę, starganą rozpaczą,  
zważając i zatrutą, w bólu skamieniałą...  
czy widziałeś źrenice, co łzą krwawą płaczą —  
serce, co w żywej piersi na zawsze skonało?

Czy Ty Chryste, przechodząc tą drogą krzyżową,  
tą gehenną straszliwą, — tą śmierci pustynią —  
czyliś rzucił nam w dusze przebaczenia słowo:  
Odpuście im, bo oni nie wiedzą, co czynią...?

Czyliś brał nas nędzarzy w Swe boskie ramiona —  
czyliś otarł łzy palące zmartwychwstały Panie?  
Czyś przyrzekł biednej duszy, co ginie zelżona,  
że kiedyś w boskiej chwale z Tobą zmartwychwstanie?



NAD JEZIOREM

## W WIOSENNEM SŁOŃCU

Jeziro, wygładzone od końca do końca,  
Leży, jak gdyby wielka lazurowa płyta,  
w samym środku w złociste promienie rozbita —  
strzaskana złotą kulą z nieb spadłego słońca.

Góry stoją, okryte w białe szaty mnisze,  
niby szereg pielgrzymów u świętego źródła;  
a na świeżą ruń owca już bieży wychudła  
i ponad bladym kwiatem motyl się kołysze.

Leżę nad brzegiem — w słońcu; chłonę jasne ciepło;  
czuję, że słońce topi krew moją zakrzepłą  
i wnet żarem swym duszę uszpioną rozpali,

że dusza roześmiana ze snów mrocznych wstanie  
i wyciągając ręce na słońca spotkanie —  
pójdzie przez ciche tonie lazurowej fali.

*Levico.*





NAD JEZIOREM

## W SŁOŃCU

Kryjąc ciało dziewicze w białych mgieł muślinie,  
leciuchnymi stopami potrącając fale,  
w jakimś tańcu mistycznym po wodnym kryształe  
wirują nad jeziorem słoneczne boginie.

Pewnie któreś brylantów sznur rozsł się w wody  
i blaskami przyprószył błękitne jezioro:  
bo fal rąbki srebrnymi iskierkami gorą  
tam, gdzie bogiń słonecznych płyną korowody.

Spłynęła kędyś z słońca południową ciszą;  
girlandami mgieł białych nad falami wiszą;  
przeginając rozkosznie swoje ciała młode...

W lekkich płasach ku brzegom zbliżają się tłumnie  
i bieluchne ramiona, wyciągając ku mnie —  
wabią w śmierci korowód — nad otchłanną wodę.

*Levico.*



## W SŁONCU

Z wieczystej, złotej lampy, co u nawy świata  
płonie tam przed ołtarzem największej Legendy  
ścieka w dół płynne złoto — rozlewa się wszędy,  
stoki gór w jasne strugi, jak w szarfy oplata.

Przez winnice się sączy i na rzecznej fali  
w złote blaszki tężeje — niemi z wód migota;  
fale z sznumem je garną w szczerym dźwięku złota,  
zanim w morzu rozsypią gdzieś na dno z koralii.

Z wieczystej, złotej lampy z ponad szczytów ziemi  
płynie słoneczny balsam strugami złotemi  
mistyczne nad duszami sprawując obrzędy...

Na życie wiekuiste znaczy ludzkie skronie  
balsam nieśmiertelności, co skrå życia płonie  
od wieków — przed ołtarzem największej Legendy.





## KSIEŻYC

Ktoś rzucił z poza światów srebrny krążek dyska:  
ten niebem, gdzieś za chmurą zakreślił łuk srogi, —  
wypadł z chmur, — na muślinach uwiązał mlecznej drogi  
i stamtąd srebrną tarczą nad ziemią połyska.

Ale swoim ciężarem rwie muślinów sieci — — —  
na wstędze mlecznej drogi, jak medalion zwisa, —  
wreszcie srebrnym się brzegiem wsparł o czub cyprysa  
i jak lampa z ramienia kandelabru świeci.

Cudne ktoś poza światem wyprawia igrzyska:  
pewnie patrzą tam wszyscy na srebrny krąg dyska,  
co ugodzić śmiertelnie miał spróchniałą ziemię, —

i z zdumieniem spostrzegli, że wpadł w sieć woali,  
w których nad starą ziemią gwiazd milion się pali,  
by lśnić, jak pierwszy klejnot w gwiezdny dyademie.



*Dziociom włoskiem z pod okupacji austr.*

## U WODOSPADU \*)

Z głębi skalnej, szeroko rozwarłej gardzieli  
wałą się w dół skłębione srebrnych wód tumany;  
barwnym łukiem wytryska ponad śnieżną piany  
tęcza, którą na skrzydłach z nieb znieśli anieli.

Gdzieś na dnie wodospadem rozbitej czeluści  
jakiś pomruk się dławi przeciągły a głuchy,  
jakby zżymał się potwór, zakuty w łańcuchy,  
wiedząc, że go zwycięzca z uwięzi nie spuści.

W tęczę dzieci się śmiały: Pewnie Jezus-dziecię  
dowiedział się tam w niebie, jak smutno na świecie  
w chwili, gdy na łuk z tęczy kładł słoneczne strzały

i swą śliczną zabawkę podzielił na poły:  
część jedną posłał na świat przez białe anioły,  
by się choć biedne dzieci przez tży czasem śmiały...

*Ponte della Serra.*

\*) Nad wodospadem widoczny w słońcu mały łuk tęczy.





Z ALP

*Dr. Stan. Wilczyńskiemu.*

## TEŃSKNOTA

Zapadło w góry słońce, — dogasa już chmurnie  
nad cichą, zadumaną, złocistą jesienią,  
jeno jeszcze purpurą zachodu się mienia,  
niby baszty w pochodniach — niebosiężne turnie.

Gdzieś tam w mgłach horyzontu tli się góra złota,  
jak widmo przeogromnej królewskiej siedziby:  
od purpury zachodu lśnią na basztach szyby — — —  
w zamku tym, — jak wieść niesie — mieszka król Tęsknota...

O królu, — dusz tyranie, — wieczysta Tęsknoto!  
o tobie nam w kolebce matki baśnie plotą,  
twój pałac nieustannie lśni ku nam z daleka...

Idziem od wczesnej wiosny, aż szron skronie sprószy, —  
wreszcie padniem znużeni z niemym żalem w duszy —  
bo na drogę nie starczy żywota człowieka...



## W CHMURNY DZIEŃ

Ginie świat: — rdzawe plamy po zboczach się kładą,  
winnice stoją w barwach poczerniałej miedzi. —  
Słońce na chmurnym tronie na gór szczytach siedzi  
i rzadko jeno spojrzy w dół źrenicą bladą.

A wicher złotymi liśćmi tak rozrzutnie sypie,  
jak skarbnik, co to w tłumy dukatami sieje,  
gdy za trumną się zwarły grobowe wierzeje —  
za ostatnim już z rodu — na królewskiej stypie. — —

I na dusze się kładą tęsknoty i mroki — —  
Chciałbym drzeć w strzępy serce, — rzucać w świat szeroki,  
jak iskrami krwawemi na dusze człowiecze,

by się dusze choć słabym płomykiem zatliły  
i spostrzegły — chociażby od progu mogiły  
cień własnej swej tragedyi, — co się z niemi wlecze — —





O ZMROKU

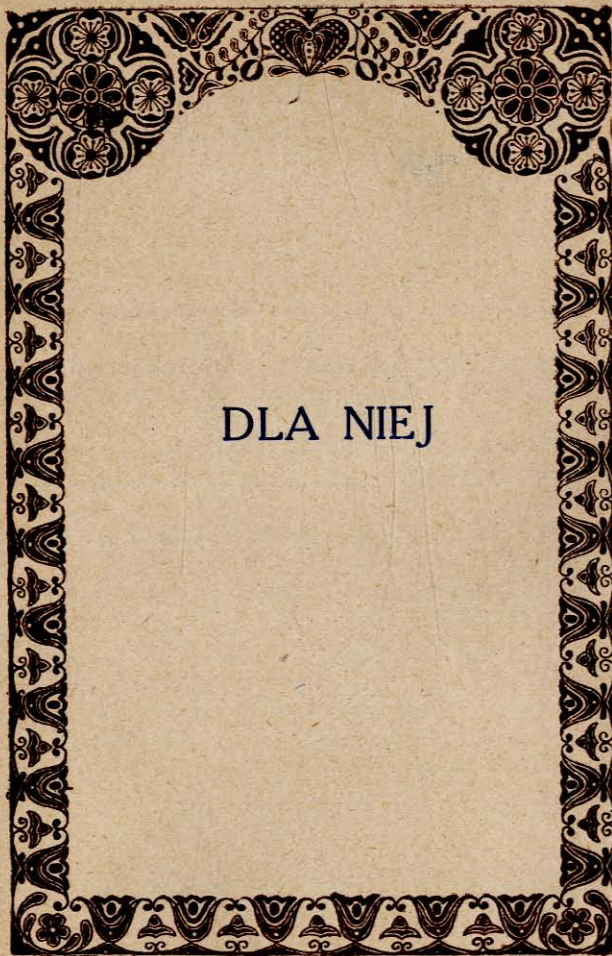
## TOPOLE

Jak zakłete anioły, patrzące w Sodomę —  
anioły, którym skrzydła złamała tęsknota,  
w zmierzchu, długą aleją, po cmentarne wrota  
stoją smukłe topole — ciche — nieruchome.

Stały wprost przedemną po bramę cmentarną,  
jakby dwa rzędy mnichów, co przed trumną suną:  
niebo się na zachodzie tli ich gromnic łuną,  
lecz dołem, ponad ziemię mroki się już garną — —

Stały wprost przedemną po bramę cmentarną,  
niby duchy ciemności, śmierci siejąc ziarno  
w zbyt słabe serca — pyłem popróchniałych kości — —

Więc cóż że słońce gaśnie? — że mknie w mroków dale?  
Gdy zechcę — naraz sto słońc w mej duszy rozpale  
z boskich skier, — wiekiustych słońc nieśmiertelności...



## DLA NIEJ



Ty byłaś dzieckiem prawie, lecz oczu twych błyski  
padały już na dusze, jak ognia stygmaty;  
zbyt wcześnie ustrajano pewnie w maków kwiaty  
atłasowe wezglowie u twojej kołyski.

Pamiętam w złotych blaskach twoje lica blade,  
gdy chłonełaś wargami pocałunki słońca,  
a wiatr szumiał po liściach alei bez końca  
cudowną, wiekuistą miłości baladę.

Potem, — potem cię dziewczę nie widziałem prawie,  
tylko w snach się jawiłaś, w snach o złotej sławie,  
wieńcząca moje skronie w purpurowe kwiaty...

I dziś, po tylu latach zjawiłaś się poto,  
by chodzić krok w krok za mną widomą tęsknotą  
i palić na mej duszy znów krwawe stygmaty...





## NIE WIEM KTO JESTEŚ...

### I.

#### WIOSNA

Zesłaś, jak sen, o którym śnił motyl na lili:  
wiosna cię jaśminową otuliła wonią —  
kwiaty pod stopy twoje kobiercem się kłonią —  
samo słońce do warg twych różowych się chyli.

Szłaś rozkwitłych kasztanów śnieżystą aleją:  
widziałem twoje oczy, jak fijołków kwiecie...,  
i te oczy przez śnieżne jaśminów zamiecie  
do mnie się nieustannie cudem wiosny śmieją.

Nie wiem kto jesteś dziewczę... Codzień czekam na cię:  
idziesz, niby królowna w wiosny majestacie —  
jakbyś ty sama była tej wiosny zarzewiem...

Przechodzisz... Smutnie kwiaty jaśminów się chwieją...  
Patrzę, długo rozkwitłych kasztanów aleją —  
i czegoś mi tak smutno, — a czemu — sam nie wiem...



### II.

#### LATO

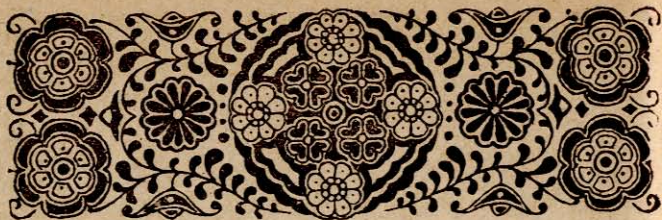
Słońce żary przesącza przez gąszcz kasztanowy,  
haftując złotym ściegiem na chodniku znaki...  
Idziesz: usta rozkwitły twe w szkarłatne maki —  
włos łśni złotem pszenicy dokola twjej głowy.

Cudne lato twe lica pocałunkiem pali —  
chyli się ku twjej piersi przez zwiewne koronki —  
to znów muśnie wargami ust twych krwawe pąki,  
jakby złotem sprószyło gałązkę korali...

Nie wiem kto jesteś dziewczę... Codzień czekam na cię:  
idziesz, niby królowna w słońca jasnej szacie —  
jakbyś ty była duszą lata złocistego...

Przechodzisz... Róże w słońca pocałunkach mdleją...  
Patrzę długo kasztanów cienistą aleją —  
i czegoś mi tak smutno, — a nie wiem sam czego...





### III.

#### JESIEŃ

Jesień z drzew kasztanowych splotła złotą nawę  
i sypie pod twe stopy szeleszczące liście...  
Idziesz w gasnącem słońcu dziwnie uroczyście:  
Twoje usta rozkwitły w jarzębiny krwawe...

W twarz twą liści zawieją sypią wichry chyże —  
całują zrumienione, dojrzałe jagody...  
Idziesz, jak sen słoneczny, sen wieczyste młody,  
szeleszcząc dziwnie cicho po liściach i źwirze...

Nie wiem kto jesteś dziewczę... Codzień czekam na cię:  
idziesz, niby królewna w złocie i szkarłacie,  
jak gdybyś była duszą ty świata całemu...

Przechodzisz... Drzew gałęzie żółkłe liście sieją...  
Patrzę długo kasztanów złocistą aleją —  
i czegoś mi tak smutno, — a nie wiem sam czemu...



### IV.

#### ZIMA

Śnieg ziemię całą tuli, jak skrzydła anioła, —  
tobie uścielił białe, puszyste dywany;  
w mroźnym wicherze nadchodzisz — z srebrnych śniegów piany  
i usta swoje tulisz w gronostajów boa...

Idziesz światem, jak widmo jakiejś jasnej duszy,  
wśród srebrnych gwiazd, zamiecią lecącej gromady;  
na pozostałe w puchach drobnych stóp twych ślady  
cicho, lecz nieustannie śnieg prószy i prószy...

Nie wiem kto jesteś dziewczę... Codzień czekam na cię:  
idziesz, niby królewna w całym majestacie,  
świecąc w słońcu wśród śniegów szczerym złotogłowiem...

Przechodzisz... Światem wichry srebrne gwiazdki sieją...  
Patrzę długo kasztanów umarłą aleją —  
i czegoś mi tak smutno. — a czemu — nie powiem...







## Z SŁONECZNYCH CHWIL

Mam dla ciebie dziewczyno nad morską topielą  
złoty pałac, z słonecznych promieni utkany;  
w nim błękitem wybite sklepienia i ściany.  
a kobierce z szafiru miękkich fal się ścielą.

Przy harfie z strun księżycy wiatr nocą usiedzie,  
na tle morza akordów cichą pieśń zadzwoni —  
a snu motyl, zlatując na marmur twej skroni  
przyniesie ci opowieść o szczęścia legendzie.

Przyjdź o dziewczę! — ten pałac zawsze na cię czeka; —  
mą łódkę ponad fale mewy śnieżne wiodą...  
Przyjdź dziewczę, — złóż swą główkę na pierś moją młodą —

pójdziem walczyć ze życiem o szczęście człowieka...  
i wnet dla nas gwiazd zorze i słońca pogasną,  
jeśli spojrzym w swe serca, — w swoją duszę własną.



## NAD FAŁĄ

Stalaś, jak bóstwo piękna ponad brzegiem fali,  
chlonać jasny cud słońca w przeźroczce swe ciało;  
słońce żarem się kładło na pierś twoją białą,  
pijąc młodej krwi szały z ust twoich koralu.

Widziałem: prawie mdlałaś z rozkoszy i szału,  
przeięta wstecz, — mgłą krwawą po skronie owiana;  
drząc, tuliłaś ku sobie różowe kolana,  
ku którym wargi słońca schodziły pomału...

Widzę cię dotąd taką w krwi dziewiczej szale,  
niby morskich fal bóstwo na nadbrzeżnej skale,  
oddającą raz pierwszy słońcu cudne ciało...

Jawisz mi się dziewczyno, jak słoneczna złuda:  
widzę pierś twą — twe biodra — twoje białe uda,  
ku którym w pocałunkach słońce się zniżało...





## Z FALI

Z srebrzystej piany wód  
w łodygę lilii białą  
wykwita nagi cud:  
królewskie twoje ciało.

Nad wód zaklęty łan  
dziewicze twoje ciało  
wykwita z srebrnych pian  
w łodygę lilii białą.

Chcę, by z fal srebrnych wód  
boskiego twego ciała  
kwitł dla mnie wieczny cud,  
jak wodna lilia biała.

Chcę, by mi kwiat ten kwitł,  
jak wodna lilia biała  
w różowy wiosny świt —  
kwiat cudny twego ciała.

By z toni świętych wód  
nad falą skamieniała  
kwitł dla mnie wieczny cud:  
dziewicze twoje ciało.



## W WIOŚNIE

Bładym wiankiem z róż polnych oplótłbym misternie  
śnieżyste piersi twoje dziewczyno szalona, —  
a potem w pocałunku wziąłbym cię w ramiona,  
tak, ażby się nam w ciało wpiły róży ciernie.

Wiem, żebyś pierś twą młodą, bólem rozszalałą  
tuliła do mej piersi ramion całą siłą,  
choćby ostrze róż cierni do nerwów się wpiło,  
choćbyś w rosie krwi własnej skąpała swe ciało.

I w warg twoich kielichu krew byś mi podała  
z szalem wszystkich twych nerwów dziewiczego ciała,  
w pocałunku rozkosznym — szalonym — bez końca...

Wreszcie na naszych piersiach powiędłyby róże  
i padlibyśmy w mroki, w krwi własnej purpurze —  
w blaskach, nad wiosną życia gasnącego słońca.





## OSTATNIE KWIATY

Padły na białe róże brylantowe szrony;  
pod oknem moja grządka prawie, że już pusta,  
jedne kwiaty mam jeszcze dziewczęcę — twoje usta  
o aksamitnych płatkach, szkarłatnej korony.

Całowałem róż listki, kwiat maków wspaniały,  
które od ust koralii zdały mi się krwawsze;  
dziś kwiaty ukochane posnęły na zawsze,  
jedne mi twoje usta dziewczynno zostały.

Odrzuciłem precz różę dziś w szronach zakrzepłą  
i piję, piję z warg twych krwi dziewiczej ciepło,  
niby wino, co rozkosz ma w sobie obłądną...

Piję czar warg twych krwawych, niepomny już świata,  
niepomny, że wiatr płatki róż moich rozmiata,  
że ostatnie z nich dzisiaj w srebrnych szronach więdną.



## ZŁOTOWŁOSEJ

Taką świętością jesteś mi ogromną  
ty złotowłosa,  
że jeśli kiedy myśli ciebie wspomną,  
to jakby modre nademną niebiosa  
w cudzie zakrzepły —  
jakby mi słońce pocałunek ciepły  
ustami matki złożyło na czole — —  
Przychodzisz ku mnie  
wtedy w słoneczne zdobna aureole,  
jak bizantyńskich kościołów anioły  
cicho i dumnie,  
tylko warg twoich purpurowe maki  
w cudnym uśmiechu rozwarte na poły  
szałem krwi kwitną;  
a uśmiech wiecznie niezmienny, jednaki,  
jak ono słońce hen — w pustkę błękitną  
wieków rzucone.  
Jak bizantyńskich kościołów anioły  
jawisz się dumna: słoneczną koronę  
dźwigasz nad czołem,  
tylko twe wargi rozwarte napoły  
we wiekiusty czar życia zakrzepłe  
perli krwi rosą — —  
Jawisz się świątyn złocistych aniołem —  
a pocałunki warg twoich tak ciepłe  
o Złotowłosa!





RÓŽNE...

(1914—1918)



## BURZA W TATRACH

W świątyni, duchom wolnym stawionej przez Boga  
z niebotycznych skał złomów i z niebios sklepienia,  
której nic od prawników czas, ni śmierć nie zmienia  
modli się przerażeniem skamieniała trwoga.

Świątynia huczy burzy modlitwą olbrzymią:  
bije dzwon, z gromów złotych łomotu ulany,  
grzmia po skał krzesanicach wichrowe organy  
i z przepaści kadzielnic czarne chmury dymią.

A ten, co się stworzenia zwie władcą i panem  
zmartwiał, wstrzymany burzą na zawrotnej perci,  
patrzac w skalne bezednie, — w dół, — w królestwo śmierci —

i tocząc w koło okiem, strachem obłąkanem  
słuchał gromów i wichrów — czy one nie wspomną:  
komu huczą szalone, tę pieśń, tak ogromną?





## BURZA

Czart dopadł chramu niebios, — wierzejami chwieruta,  
aż drży chram od przyciesi po kalenic przeszła, —  
stopy wparł w ziem — i ziemia się cała roztrzęsła,  
sieczona błyskańcami czartowskiego knuta.

Gore dworzyszczce Boga, — płoną palisady;  
czart pod nie raz wraz smolne podrzuca łuczywa — —  
W krwawych łunach od nieba dynów czarna grzywa  
wali się w świat struchłały — dygoczący — blady — —

Wreszcie sam Bóg spoglądął przez złote wierzeje:  
napiął łuk swój tęczowy i tysiąc strzał sieje  
poprzez chmury, zwieszzone na gór skalnym żlebie —

a gdy czart z swym taborem cofnął się w odwrocie  
wyszedł jasny Bóg-słońce w purpurze i złocie,  
a łuk na znak zwycięstwa zawiesił na niebie.



## ŚNIEG

W śniegowych płatów srebrnych kaskadzie  
zima śmiertelne całuny kładzie  
ponad umarły świat —  
i wśród wichrowej, wścieklej zamieci  
królewską bielą dokoła świeci  
gronostajowych szat.

Poprzez kurniawy i przez zawieje  
bieluchnym puchem kwiatów wkrag sieje,  
strąconych z rajskich drzew —  
i kwiat ów rajski kobiercem kryje,  
niby podarte w płatki lilije:  
krzyże — mogiły — krew...

I wszystko wkoło jedną, szeroką,  
białą, śmiertelną skryte powłoką  
śniegowych, srebrnych pól, —  
tylko nędz ludzkich śnieg nie przyprószy  
i nie ustroi w śnieżną biel duszy,  
bo ją rozkrwawił ból...





## ZAMIEĆ

Świat cały śniegów kurzawą płonie:  
wiatr niesie dymu słupy olbrzymie,  
tumany śnieżnej mgły —  
i pożar leci przez białe błonie,  
w chłonej wszystko mgławicy dymie,  
srebrzyste siejąc skry.

Czart wichrem kuźnic piekielnych dmucha,  
gardziele miechów zwrócił ku ziemi,  
by zmieść kurzawą świat:  
w chichocie wichrów grzmi zawierucha,  
sypiąc pożaru skrami srebrnemi  
w słomiane dachy chat.

I z chat się dymów podnoszą grzywy,  
zawieją szarpie niebios podwoje  
i wszędy tylko śnieg;  
przy czarcich miechach Mróz-płatnerz siwy  
wykuwa lśniącą, lodową zbroję  
na piersi martwych rzek.

Świat tonie w szale wścieklej zamieci;  
mrok swą żałobną, czarną oponą  
do szczętu ziemię skrył...

W noc, na gromadkę skostniałych dzieci  
i betlejemską gwiazdę zgaszoną —  
srebrzysty leci pył...



## ODMARSZ

Padł rozkaz: błysk bagnetów zaświecił przez mgnienie,  
jak piorun, z chmur lecący na szare rozłogi;  
karabiny z łoskotem spoczęły u nogi,  
na bagnetach blask słońca strzelił w świec płomienie.

Pierś przy piersi w nowiutkim, polowym mundurze  
nieruchoma i cicha, niby głaz spiżowy;  
wicher jeno jesienny, wiejąc ponad głowy  
trącał liście, na czapkach sterczące ku górze.

Przechodzę wzdłuż szeregów: stoją, jak kolumny  
ciche, nieporuszone; słyszę serca tętno...  
Wiatr w gałązkach dębowych lka piosnkę tak smętną,

jakby płakał za wiosną, złożoną do trumny...  
Marszczę brwi, bo zda mi się, gdy powieką ruszę  
lzy polecą... Odchodzę, — widziałem ich dusze...





## NIE WAS MI ŻAL...

Nie was mi żal,  
coście w przedzgonnej jednej wielkiej chwili  
marzenia wieków najświętsze przeżyli,  
patrząc na słońce, wstałe z mroków fal, —  
które przed waszą stężałą zrenicą  
strzeliło w niebo jasną błyskawicą...  
Nie was mi żal...

Nie was mi żal,  
którzy konając, widzieliście słońce,  
kiedy wschodziło nad mogił tysiące,  
złocąc, krwią bratnią obryzganą stal —  
i pod zmartwiałe padło wam powieki,  
w sercu i duszy zostając na wieki...  
Nie was mi żal...

Lecz was mi żal,  
coście przed zgonem świtów nie widzieli  
i szklanem okiem szukając mścicieli  
patrzyli w nieba beznadziejną dal —  
i was, co widząc mogiły ofiarne  
wiecie, że one wzrastają na marne...  
was mi jest żal.



## OJCZYSTEMU MIASTU

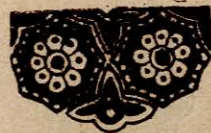
Królewski grodzie stary, — grodzie mój ojczysty!  
Przybiegłem do cię, gnany tęsknotą sieroty;  
śniłem zawsze o tobie słoneczny sen złoty,  
wśród pieśni, którą grały wrażeń kul poświsty.

A tu u twoich wieżyc ciężkie chmury zwisły,  
deszcz osnuł stare mury twoje brudną przędzą, —  
jeno dawne tęsknoty w dal bezkresną pędzą  
na spienionych, szumiących falach szarej Wisły.

Królewskie miasto moje! Dążyłem w twe strony,  
jak ptak lotem dalekim śmiertelnie znużony,  
ptak, którego wicher długo od gniazda odpędza;

wyciągałem ku tobie z daleka ramiona,  
jak do słońca uśmiechów człowiek co już kona —  
a u bram mnie twych wita: głód — rozpacz — i nędza...

*Kraków, listopad 1917.*







## SWEJ ZIEMI

Biegnę na Twoje łąki — na miedze — na łąny,  
rozmodlone zbóż szeptem przedwieczorną ciszą,  
patrzeć, jak się wśród kłosów bławaty kołyszą,  
jak na miedzach rozkwita blade krzak różany.

Biegnę do mrocznych borów, gdy niebo się złoci  
gwiazd zamiecią, — gdy drzewa w poświacie omdlały —  
idę w ciszę tajemną zasluchany cały —  
idę przez ciemne jary — za kwiatem paproci...

Droga znowu przedemną gdzieś do krańców ziemi:  
więc biegnę, pijąc czar Twój pierśmi całami —  
biegnę, żegnać Twe łąny, bory i wykroty.

A jeśli me źrenice krwią serdeczną bryzną,  
żegnając rozmodlone łąny Twe Ojczyzno —  
to przyjm łąy, bo to czyste, szczerze łąy sieroty.

*Lipiec, 1918.*



## MARSZ ŻAŁOBNY CHOPINA

Rozhulały się dzwony; zawodzą i jęczą,  
lecąc złotym zbóż łąnem, kwieciem polskiej łąki;  
po hałach rosą płaczą lilijowe dzwonki, —  
wichrowe huczą dzwony tatrzańską przełęczą.

Spżowe biją dzwony... Pieśń rzewna a szumna  
nad dachem dworków polskicñ we wicherze się niesie —  
paprocie cicho szumią w zadumanym lesie,  
a łąnami pszenicy plynie biała trumna.

Rozjęczały się dzwony po polskim ugorze, —  
płyną falą przez kłosów nieprzejrzane morze, —  
przez łąki, kędy przycichł rzewny śpiew pastuszy, —

ciemne jodeł korony rwie ich jęk żalony, —  
a za trumną bielutką z desek polskiej sosny  
idzie łąnem pszenicznym widmo polskiej duszy...





## KOŚCIUSZCE

Nie tem Tyś wielki, Wodzu z pod Raclawic,  
żeś szablą kreślił swej ojczyzny imię,  
że przez Cię błysło, jak widmo olbrzymie  
we krwi swych synów, w zygzakach błyskawic.

Nie tem Tyś wielki, że ono gasnące  
na Twoich ustach, jak talizman zgasło,  
bo tych, co imię to mieli za hasło  
w godzinę śmierci — tych było tysiące...

Aleś tem wielki, żeś w kos świetlnej łunie  
z chłopskiego serca skrzesał iskier krocie,  
żeś wykuł w duszach, w tem najszczersem zlocie  
miłość ojczyzny we łzach i w piorunie...

Aleś tem wielki, żeś duszę Swą jasną  
zapalił Polsce, jak złotą pochodnię,  
co już wiek płonie nad nami pogodnie  
dla dusz znękanych, — dla serc, które gasną...

Że dziś nam surmy wieszczą Zmartwychwstanie  
i że się gromy o pierś naszą kruszą,  
że sercem jednym, — żeśmy jedną duszą —  
to za Twą sprawą — Ty, Wodzu w sukmanie!



## ZIEMI POLSKIEJ

O Ziemia polska, — Tyś drugą Golgotą  
pod gromów burzy krwawym baldachimem —  
stosem ofiarnym, — monstrancją złotą,  
spowitą zagród spopielonych dymem —  
Ty, — ustrojone polskiej krwi koralem  
klękam przed Tobą — drugie Jeruzalem...

Dziś krzyż Twej męki tak wielki ogromem,  
że rozprzestrzenił ramiona nad światem;  
jednego progu niemasz poprzd domem  
nie zbryzganego bratniej krwi szkarłatem —  
tak, że dziś w bólu możesz być rywalem  
Jeruzalemu — polskie Jeruzalem...

Bo chociaż kiedyś w ofiarnej przeszłości  
wznoszono Tobie krzyże i mogiły,  
to nigdy przecie Twoich synów kości  
takiej przestrzeni bezmiarów nie kryły;  
nigdy lud nie lkał takim strasznym żalem,  
jak dni dzisiejszych — polskie Jeruzalem...

Więc w proch przed Tobą padam na twarz w trwodze  
Ziemia mych ojców i braci kurhanie —  
i każdy krzyżyk całują przy drodze,  
bo, to Twe rany i Twe Zmartwychwstanie;  
boś relikwiją każdej skiby całam  
Ziemia Ty polska — święte Jeruzalem...

*Wielki Piątek, 1916.*





## UŁANOM Z POD ROKITNEJ

Śmierć was wstrzymała w tej piekielnej szarży,  
strasznej, jak tamta pod Samosierra...  
wicher się nad wami w smutnej piosnce skarży  
i w szkliste oczy promień gwiazd się wdziera;  
księżyc wam srebrem poopłatał skronie,  
zaskrzeple rany całuje i pieści;  
srebrzystym wężem w klindze szablic płonie,  
ślepiami wilka zastygł w rękojeści.

Spicie, jak ongiś praojce posnęli;  
nigdy was ze snu już apel nie zbudzi...  
noc zeszała ku wam w księżycowej bieli,  
niosąc sen z sobą dla strudzonych ludzi.  
Lecz nie wam sen jej — wy snem śmierci śpicie,  
straszni i wielcy tem swoim milczeniem;  
nie wam już słońce zabyłśnie o świcie:  
po takiej szarży — tylko śmierć wytchnieniem...

Spicie, nie wiedząc co z krwi waszej wzrośnie, —  
lecz kiedy z mogił błysną brzaski słońca  
widmo trębacza zadzwoni rozgłośnie  
hejnał, co ziemię przeleci do końca...

Widmo trębacza na koniu przyleci  
i w świat uderzą złotej trąbki dźwięki,  
pobojowiska przebiegną stuleci:  
Lipska, — Grochowa, — Wawra, — Ostrołęki...

Na waszych grobach ostrza podków zgrzytną  
w zrdzewiałe szabel polskich rękojeści  
i wam, — ułani, śpiący pod Rokitną  
trąbka pośmiertne zwycięstwo obwieści!





## PIĄTY LISTOPADA

Tak dziwny spokój w polach, a serce wre burzą,  
że chyba uderzeniem młodą pierś rozwali, —  
a tu szare, bez końca zagony się dłużą  
w jesieni mgieł porannych nieskończonej fali.

I ludzie, wzdłuż zagonów idący tak bladzi, —  
smutni i pochyleni, wkrąg rzucają ziarno;  
a łomot mego serca chyba pierś rozsadzi  
i krwią swą najgorętszą bluźnie w ziemię czarną.

Ludzie! Czy wy już wiecie, że ziarno rzucacie  
w żywą pierś swojej matki, swej ojczystej ziemi, —  
że żywa Polska idzie ku słomianej chacie,  
by światło w niej rozpalic rękoma wolnemi?

Ludzie! — na twarz padnijcie! Oto Zmartwychwstała  
idzie ku waszym chatom, wzdłuż szarych zagonów  
żyjąca, rzeczywista, — z kości, krwi i ciała  
Polska Chrobrych, — Sobieskich, — Polska Jagiellonów!



## MARYACKI HEJNAŁ

Rwij się w świat  
złoty Hejnał,  
z wichrem w przegony!  
Ponad Bałtyku fale —  
ponad Tatr śnieżne korony —  
nad dachy polskich chat —  
rwij się w świat!

Stały zboża zasłuchane:  
łza rosy ścieka w dół ich rzesą  
na purpurowe maki...

W słońcu się jarzy  
las husarzy;  
konie okryte w srebrną pianę,  
strojne w szkarłatne krwi czapraki  
w wichrach śnieżnemi grzywy trzęsą  
i niebiosami rwą...  
A na nich kraśni  
skrzydlaci woje;  
srebrne ich miecze, złote ich zbroje  
palą się skra...

Lecą rycerze przecednej baśni  
w niebieskie wrota,  
cali w łśni złota —  
w blaskach i chwale —  
w gromkim hejnale  
błękitem niebios rwią...

Przez srebrne miecze  
w kropłach w dół ciecze  
świt różany  
na łany  
szkarłatną, świeżą krwią...

Staneły zboża zasluchane:  
łza rosy ścieka w dół ich rzęsą  
na purpurowe maki...

Rwij się w świat  
złoty Hejnale!  
Niech się po niebie  
pieśń Twa kolebie...  
Leć w niedościgłe dale  
od wieży złotej korony —  
z wichrem w przegony,  
nad strzechy polskich chat —  
rwij się w świat!



Z WAWELU

## U SARKOFAGU JADWIGI

Niby jasna królowna najcudniejszej baśni  
śpisz zaklęta, na białe marmury złożona;  
zda się, że wnet westchnienie uspiętego łona  
iwarz Twą życia bledziuchnym uśmiechem rozjaśni.

Alabastrowe dłonie, jak kwietne kielichy  
w wiekuiestej modlitwy geście skamieniły —  
śpisz, jak bajki królowna, jak cherubin biały —  
śpisz w liliowej koronie, bez królewskiej pychy.

Ale z snów Cię nie zbudzi już Twój rycerz złoty —  
nie wniǳcie tu pod świątyń kamienne namioty:  
straż mocarną tam króle stawiły u węǳa...

Spisz na zimnych wezǳłowiach marmurowych tronów —  
śpisz w liliowej koronie wielkich Jagiellonów,  
co Ci złotą okową Tve serce oprzǳęła...





Z WAWELU

## W PODZIEMIACH

Cisza w podziemiach legła, a trumna przy trumnie  
to marmurem, to złotem żalobnie połyska;  
z bojaźnią jakąś świętą wymawiasz nazwiska,  
tych, co żyli i marli po królewsku, — dumnie.

Wszyscy oni wielkością i sławą rówieśni,  
którzy tutaj wieczyste zajęli posłanie:  
króle w złotej koronie i ów wódz w sukmanie  
i wieszcz z wieńcem wawrzynu nieśmiertelnej pieśni.

Duch ich wiecznie w cudownej odżywa legendzie  
i lśni, jak błyskawica przed polskim narodem;  
srebrnemi orła skrzydły kreśli bieg swój przodem —

syn trumien i popiołów, a zawsze żył będzie,  
z piastowskich zrodzon prochów spopielenych kości  
z wiekuistej swobody i z nieśmiertelności.

1916.



Z WAWELU

## DZWON ZYGMUNTA

Olbrzymi dzwon królewski zastygł w martwej głuszy,  
dzwon, którego potężde pieśni niema granic:  
gdy zahuczy, to sięgnie tatrzańskich krzesanic  
i falami Bałtyku, jak wicher poruszy.

On, co zginał proporce i skrzydła husarzy,  
lejących w huraganie jego dźwięków w boje  
i witał, gdy wracali w domowe podwoje —  
dziś zastygł nieruchomy, — sen przeszłości marzy.

Zygmuncie! — pieśni twojej piorunnej czekamy, —  
rozkołysz serce złote i ogłoś dzień Słońca, —  
hejnały trąb anielskich roześlij za gońca,

niech wstrząsną ziemią całą, lecąc w niebios bramy, —  
niechaj głos twój potężny usłyszą bluźnierce —  
Zygmuncie! Dzwonie królów! Rozkołysz swe serce!

1916.





## PRZYSIĘGA

Przysięgę czynim przed niebem i światem,  
klnąc się na braci krzyż mogilny świeży,  
zbрызgnany jeszcze ciepłej krwi szkarlatem:  
że ojców naszych piastowskich rubieży  
nikt nam nie wydrze ni zdradą — ni siłą  
dopóki polskie serce będzie biło!

Nagrobne krzyże u granic stawiamy,  
gdyby nas żywych zabrakło na straży;  
gdyż żyw nie wnijdzie w zagród naszych bramy,  
ktoby plwał w Znicze najświętszych ołtarzy, —  
bo pod piastowskich chat niskie poddasze  
droga przez trupy i przez prochy nasze!

Przeto się klniemy na żywego Boga  
i na Twe imię ojców naszych Ziemi:  
że staniem śmierci brygadą u proga,  
z braćmi, co w świeżych dziś mogiłach drzemią —  
i że na szańce u granic kolumny  
rzucim praocjów korony i trumny!

18. II. 1918.



## SONET O SONECIE

Masz przed sobą, jak gdyby onyksową płytę,  
o oznaczonym zdawna, od wieków wymiarze  
i rzeźbisz: świat, obłoki — nawet ludzkie twarze —  
nawet dusze i myśli, w sercach na dnie skryte.

Wiedz, że się z luźnych kruszozyn sonetów nie klei —  
to być muszą kawały twej duszy najszczerze,  
rzeźbione w piękną formę, — a sonetu wiersze  
to, jak warstwy onyksu na greckiej kamei.

I nie myśl, że ten siebie na nice rozkruszy,  
kto rzuca w małych rzeźbach cząstki własnej duszy,  
bo dusza, to rzecz wielka, — w proch się nie rozwieje —

Pewnie, że się jej całej nie każdy dopatrzy,  
że ją tylko odgadnie jakiś człowiek rzadszy,  
co ukochał zazdrośnie gemmy i kamee.



1441044



## S P I S

	Str.		Str.
Matce . . . . .	5	Z jesieni: Łzy . . . . .	32
Z LITWY		"    Mgły . . . . .	33
Switeż . . . . .	9	"    Pustka . . . . .	34
Nad Switezią: Wschód . . . . .	10	"    Szaruga . . . . .	35
"    "    Zmierzch . . . . .	11	"    Deszcz . . . . .	36
"    "    Noc . . . . .	12	Litwie: Pożegnanie . . . . .	37
"    "    Burza . . . . .	13	Ułan . . . . .	38
Litewskim borom . . . . .	14	Portret . . . . .	39
Litewski dąb I. . . . .	15	Dęby . . . . .	40
"    "    II. . . . .	16	Z POŁUDNIA	
Na wedecie . . . . .	17	O wschodzie . . . . .	43
W pszenicznym łanie . . . . .	18	Ostatni akord . . . . .	44
Wśród zbóż. I. . . . .	19	Mewy . . . . .	45
"    "    II. . . . .	20	Cyprysy . . . . .	46
Cisza zbóż . . . . .	21	Cmentarz . . . . .	47
W polu . . . . .	22	Bora . . . . .	48
Z Litwy . . . . .	23	Burza nad morzem. I. . . . .	49
W polach . . . . .	24	"    "    "    II. . . . .	50
O zachodzie . . . . .	25	Na plaży. I. . . . .	51
Sen . . . . .	26	"    "    II. . . . .	52
Zachód . . . . .	27	"    "    III. . . . .	53
Jesień . . . . .	28	Pod pomnikiem Danta . . . . .	54
Z jesieni: W lesie . . . . .	29	Pod „Wielkim wodospadem“ . . . . .	55
"    Wieczór . . . . .	30	U szczytów . . . . .	56
"    Liście . . . . .	31	Z Alp . . . . .	5



	Str.		Str.
Poranek w górach . . . . .	58	Z fali . . . . .	82
W Alpach. I. . . . .	59	W wiosnie . . . . .	83
"    II. . . . .	60	Ostatnie kwiaty . . . . .	84
"    O zmierzchu . . . . .	61	Złotowłosej . . . . .	85
W burzy . . . . .	62		
Na Zmartwychwstanie . . . . .	63	RÓŻNE	
Czyś Ty Chryste... . . . .	64	Burza w Tatrach . . . . .	89
Nad jeziorem: W wiosennem		Burza . . . . .	90
słońcu . . . . .	65	Snieg . . . . .	91
"    "    W słońcu . . . . .	66	Zamieć . . . . .	92
W słońcu . . . . .	67	Odmarsz . . . . .	93
Księżyc . . . . .	68	Nie was mi żal... . . . .	94
U wodospadu . . . . .	69	Ojczystemu miastu . . . . .	95
Z Alp: Tęsknota . . . . .	70	Swej ziemi . . . . .	96
W chmurny dzień . . . . .	71	Marsz żałobny Chopina . . . . .	97
O zmroku: Topole . . . . .	72	Kościuszcze . . . . .	98
		Ziemi polskiej . . . . .	99
DLA NIEJ		Ułanom z pod Rokitnej . . . . .	100
Ty byłaś dzieckiem . . . . .	75	Piąty listopada . . . . .	102
Nie wiem kto jesteś.		Maryacki hejnał . . . . .	103
I. Wiosna . . . . .	76	Z Wawelu: U sarkofagu	
II. Lato . . . . .	77	Jadwigi . . . . .	105
III. Jesień . . . . .	78	"    W podziemiach . . . . .	106
IV. Zima . . . . .	79	"    Dzwon Zygmunta . . . . .	107
Z słonecznych chwil . . . . .	80	Przysięga . . . . .	108
Nad falą . . . . .	81	Sonet o sonecie . . . . .	109

